

K R A Dziennik FESTIWALOWY

Gombrowicz

- eksperymen t niemal groźny

- Czy Pan, autor tak analitycznych tekstów jak referat przedstawiony w pierwszym dniu seminarium, nie obawia się, że historyk literatury zawsze spłaszca przedmiot swoich rozważań, odbiera mu wieloznaczność? Szczególnie gdy przedmiotem jest twórczość Gombrowicza?

- Takie niebezpieczeństwo, zwłaszcza z Gombrowiczem, zawsze istnieje. Ale myślę sobie tak: to, co mówiłem o Gombrowiczu jest próbą uprawiania historii idei czyli wyjściem poza kontekst literacki. Przedstawiony na seminarium fragment jest częścią większego projektu, w którym chcę opisać wizję Europy w polskiej kulturze powojennej, w literaturze, w filozofii. Nieuchronnie spłaszca to element literacki, sprowadza zryw tkankę utworu do idei, do dialektyki idei. Jest to oczywiście koszt uprawiania historii idei, ale jeśli chce się uprawiać tę dyscyplinę, jest to koszt nieunikniony.

Swoją ostatnią książkę napisałem o Schulzu i była ona zupełnie inna. Otóż starałem się tam niczego z literackiego elementu nie opuścić, próbowałem z tkanki literackiej, z metaforyki, z tekstu wyciągnąć aparat naukowy przezroczysty, Schulzowski. Taki, który nie będzie zamieniał literatury w idee. Było to takie czytanie „blisko tekstu”. Natomiast praca o Gombrowiczu ma szerszy kontekst - kryzys kultury europejskiej. Naturalnie, w tym kontekście Gombrowicz spłaszca się, schodzi do elementów ideologicznych, które w jego twórczości są bardzo przewrotne. Zdaję sobie z tego sprawę, ale historia idei też jest w końcu potrzebna, też coś pokazuje: to, co się dzieje między literaturą a filozofią, teorią kultury. To jest wymiar mało literacki, ale ciekawy z innych powodów.

- Stwierdził Pan kiedyś, że z tej trójcy, która patronuje Festiwalowi, przetrwa jedynie Schulz.

- Tak właśnie myślę. Witkacy jest coraz mniej czytelny ze względu na stylistykę. Aleksander Fiut próbował w swoim referacie pokazywać co prawda, że staje się czytelny na nowo w postmodernizmie, kiedy wszystko jest dozwolone, kiedy pojęcie tekstu niespójnego już nie istnieje. Więc Witkacy w tych czasach postmodernizmu właściwie wygrywa. Nie wiem, być może ta trudna i przestarzała stylistyka Witkacego kiedyś wróci. Może kiedyś wrażliwość zostanie zmieniona do tego stopnia,

że nie będziemy dostrzegać sztuczności Witkacego, jego staroświeckości. Ale z drugiej strony rację ma chyba Włodzimierz Bolecki twierdząc, że w żaden sposób nie można mówić o tych trzech jako o postmodernistach, przynajmniej w takim literaturoznawczym rozumieniu postmodernizmu. Myślę, że szansa jest gdzie indziej. Zmieniły się czasy i być może czasy postmodernizmu pozwolą na nowe odczytanie Witkacego, Gombrowicza i Schulza.

Gombrowicz wydaje mi się ciągle aktualny, ciągle istotny, ale istotny wyłącznie w negatywnym aspekcie. To znaczy jest on takim wielkim znakiem ostrzegawczym dla kultury europejskiej. Pokazuje, do czego może doprowadzić - sam zresztą nie wiedząc tego do końca - ten jego eksperyment. Martin Buber, twórca filozofii dialogu, powiedział kiedyś o twórczości Gombrowicza, że jest to „eksperyment niemal groźny”. Myślę, że to niesamowicie trafne spostrzeżenie.

- Ale na czym ta groźba polega?

- Gombrowicz pokazuje do czego doprowadza rozum uwolniony od wszelkiej historyczno-

Dwa słowa dyrektora

Nie wypada mi oceniać premier radomskiego teatru, ale prywatnie muszę powiedzieć, że „Kosmos” uważam za jedno z najciekawszych przedstawień, które udało nam się tu zrobić. Jestem wdzięczny autorom spektaklu, że zechcieli go u nas realizować.

Dzisiaj zapraszam serdecznie na „Ferdurke” warszawskiego Teatru Powszechnego w reżyserii Waldemara Śmigalskiego. Przedstawienie z takimi gwiazdami jak Ewa Dalkowska, Jerzy Zelnik, Krzysztof Stroiński. Przedstawienie, które ma już ponad dwa lata. Myślę jednak, że jak przed dwoma laty „Ślub” - choć też grany w Warszawie dużo wcześniej - okazał się wydarzeniem Festiwalu, tak również to przedstawienie warszawskiego Powszechnego zostanie ciepło przyjęte.

Równie serdecznie zapraszam na warsztaty Teatru Narodowego z Tuluzy, które poprowadzi Jacques Rosner. To właśnie on jako pierwszy wyreżyserował w Paryżu „Operetkę”. Będą to zajęcia na temat „Ślubu” Gombrowicza, będą fragmenty scen, dyskusja, oczywiście na żywo tłumaczona. Wszyscy Państwo będą mogli zadać pytania i wysłuchać tego, co mają do powiedzenia twórcy francuscy.

O godzinie 21 gwiazda Festiwalu - Andrzej Seweryn będzie czytał „Dzienniki” Gombrowicza. Sądzę, że warto spotkać się z tym wybitnym aktorem, pracującym obecnie w Komedii Francuskiej. Po raz pierwszy od dwunastu lat stanie on na polskiej scenie, tu właśnie w Radomiu.

Cieszę się też, że wzrasta zainteresowanie Festiwalem. Wczoraj jeszcze sprzedawaliśmy bilety na „Iwonę - Księżniczkę Burgunda”. Mam więc nadzieję, że zechciecie Państwo przyjść również na Andrzeja Seweryna - jest jeszcze trochę biletów. Zapraszam

Wojciech

Kepczyński

ści, od wszelkich form, ograniczeń, przesądów, rozum absolutnie wolny. Pokazuje krańcowe konsekwencje wynikające z wolności absolutnej, której szukał przez całe swoje życie i do której dochodził, cofając się przed nią, bojąc się jej. „Ślub” się tak kończy, „Kosmos” się tak kończy, właściwie wszystkie jego dzieła kończą się takim gestem wystraszenia. A jednocześnie zdawał sobie sprawę, że nie ma wyjścia. Dla niego nie był wyjściem powrót w mit, powrót w nostalgię, powrót w kreację mitów, jak miało to miejsce u Schulza. To niesamowite, jak z dwóch bardzo podobnych wrażeń takiego drgania rzeczywistości, jej rozchwiania wynikają odmienne konsekwencje. U Gombrowicza zawsze pojawia się kłótnia, konflikt. Natomiast u Schulza z tych zniekształceń rzeczywistości pojawia się sens, wręcz tryska sens.

cd. str 4

Wiceminister kultury
Michał Jagiełło

Pan od kultury!



Życie jest tak bogate, że łamie wszystkie wymyślone modele.

Są wydarzenia kulturalne, w których budżet państwa powinien pokryć sto procent kosztów lub przynajmniej zdecydowaną większość. Do nich należy na przykład Konkurs Chopinowski. Oczywiście nie będzie przez budżet finansowany w stu procentach, bo mamy różnych darczyńców, ale jednak w zdecydowanej większości. Konkurs Chopinowski nie jest jedyną taką imprezą. Choćby toruński Festiwal Kontakt, który będzie prawdopodobnie finansowany z czterech źródeł: wojewoda, prezydent, minister kultury i prywatni darczyńcy. Będą i takie, już nawet są, których koszty w dwóch trzecich finansuje na przykład samorząd i wojewoda. Krótko mówiąc, nie ma jednego modelu finansowania kultury.

Jeśli chodzi o to radomskie niezwykle wydarzenie gombrowiczowskie, przypomnę, że pomysł powstał tu w Radomiu. Nie w Warszawie przy biurku go wymyślili, tylko w Radomiu. A zatem jeśli ktoś wymyślił taki festiwal, to musi mieć świadomość finansowych konsekwencji - takie jest moje twarde zdanie. Oczywiście cieszę się, że taki festiwal znalazł się na mapie kulturalnej, ale zdecydowanie mówię i mojemu bliskiemu koledze, którym jest Marek Szyjko, i panu wojewodzie, i wszystkim innym, że to musi finansować przede wszystkim Radom. Oczekiwanie, że coś wymyślimy, a potem zrobimy taką kampanię w środkach przekazu, przez parlamentarzystów, że minister musi nam to w poważny sposób sfinansować - byłoby pewnego rodzaju nierzetelnością. Powtarzam: cieszę się, że jest taki festiwal, ale nie wyobrażam sobie, żeby on przeszedł na garnuszek ministra kultury. Natomiast my jako ministerstwo coraz częściej będziemy nie współfinansować festiwale, lecz zamawiać konkretne przedsięwzięcia w ramach danego festiwalu. Dam przykład: zależy nam na pomaganiu naszym południowym sąsiadom, konkretnie Słowakom, pomaganiu w tym, aby ostro wchodził w wymianę kulturalną - ale nie na poziomie kultury ludowej, ta w Polsce jest dobrze znana. Mniej znana jest kultura „wysokiego lotu”. Dlatego finansujemy pobyt teatru z Nitry, finansujemy w pełni. Prawdopodobnie tak też będziemy robili w przypadku Festiwalu Kontakt. Nie będzie już tak, że powiemy: pani Krystyno, wspaniała zresztą, tu jest miliard czy dwa starych złotych, tylko - zależy nam na obecności Litwinów, Ukraińców, Białorusinów, Rosjan, a nawet konkretnych teatrów czy reżyserów. Wtedy to będziemy finansować. Po prostu chcemy wyraźnie zaznaczyć, na czym nam zależy.

Ten rok jest bardzo dla nas trudny. Mamy Konkurs Chopinowski. Ponieważ Konkurs ten traktujemy jako nasze dobro ogólnonarodowe, nie chcemy dopuścić do jego skomercjalizowania. A jeśli tego nie chcemy, musimy mieć pieniądze na zorganizowanie go. I to są, jak na nasze możliwości, spore pieniądze. Następną sprawą - wydzieliliśmy pewną pulę pieniędzy na wspieranie ambitnej literatury niekomercyjnej, takiej jak choćby wydawana przez Państwowy Instytut Wydawniczy kolekcja prozy polskiej. Wydzieliliśmy pieniądze na pierwszą edycję konkursu na inscenizację polskiej dramaturgii współczesnej (pierwsza edycja już się zakończyła, wkrótce ogłosimy drugą). Musieliśmy ograniczyć zatem - i to znacznie - nasz współdziałanie finansowy przede wszystkim w festiwalach organizowanych przez władze lokalne. Taka jest niestety rzeczywistość finansowa. W przyszłości koncentrować się będziemy na ważnych zadaniach, takich jak nieustający konkurs na wystawienia dramaturgii współczesnej, dość wyraźne finansowanie Kontaktu. Wciąż szukamy sposobów na oszczędzanie, dlatego zaproponowałem nawet Związkowi Kompozytorów Polskich, żeby Warszawska Jesień odbywała się nie co roku, ale w rytmie dwuletnim.

Wysłuchali: Andrzej Majczak i Igor Gorzkowski

To znużenie nie tylko mnie jest właściwe. I ono coraz bardziej zniechęca do wszelkiej wymiany myśli. Już prawie nie wsłuchuję się w treść słów, a tylko słucham jak one są mówione; i wymagam od człowieka jedynie tego, aby nie dał się ogłupić własnymi swymi mądrościami, aby jego światopogląd nie odebrał mu naturalnego rozumu, jego doktryna nie pozbawiła go ludzkości, jego system nie usztywnił go i nie zmechanizował, jego filozofia nie uczyniła go tępym...

(Dziennik,
Witold Gombrowicz)

POWIEDZIELI

Piotr Kłoczowski:
Wychodząc rozmawialiśmy z Francesco Cataluccio, że „Iwona” jest jedną z trudniejszych sztuk Gombrowicza, mimo że pozornie wydaje się, iż - jako pierwsza - powinna być najprostsza. Z dzisiejszej perspektywy, kiedy widzimy że początki Gombrowicza są tak ciekawe, wydaje się, że jest to duże wyzwanie dla zespołu. Oceniam to przedstawienie dobrze. Najciekawsze jest to, że było w nim kilka dobrych pomysłów. Trzeba dostrzec trudności, przed którymi mogli stanąć i to, jak je rozwiązyali. Na przykład sposób w jaki zostali ucharakteryzowani, „ustawieni” aktorzy. To już jest pewien „trop” do kontynuowania. Na przykład akcent na konflikt między światowością a elementem, który zakłóca funkcjonowanie tej światowości. Ta światowość jest ubrana w atrakcyjne, nie anachroniczne kostiumy. Mankament spektaklu: dosyć oryginalnie „ustawiona” postać Iwony wymagała „zgaszczenia” tego przedstawienia, ono się za bardzo „rozchodziło”. Jest to przedstawienie, w którym widać dwie rzeczy. Po pierwsze: „mają słuch” na tendencje, które w związku z Gombrowiczem się pojawiają. Po drugie: wybrali jedną z trudniejszych sztuk, przynajmniej dla zespołu, który „zaczyna” zmagania z teatrem Gombrowicza.

Maryna Bersz:
(Derevo): Dla mnie jest to spektakl wspaniały przede wszystkim w swoim radykalizmie. Prawdziwy, pulsujący życiem i prawdą. Poza tym - rewelacyjnie wykonany. Każdy ruch, każdy rytm jest precyzyjny, przepiękny. Było wiele momentów, które mnie szczerze wzruszyły. Były chwile, które sięgały poetyki, geniuszu Felliniego. Ale też bardzo mi się podobała autoironia tego spektaklu. I nie był to spektakl teatru awangardowego - jest on zbyt autoironiczny, żeby być awangardowym. A poza tym tkwi w tym spektaklu duch Sowizdrzała i wielkiej karnawałowej zabawy. Cenię to przedstawienie jako artystyczną wypowiedź i jako bardzo starannie wykonany spektakl teatralny, w którym każdy fragment pasuje do całości. Tworzy jakąś, często dziwą, ale niesłychaną mozaikę. Ta dzikość jest chyba najwspanialsza, dzikość radykalna, dzikość żywiołowa, momentami odpychająca. Dzikość prowadząca aktorów i (co najdziwniejsze) publiczność do pewnego transu. Gdyby ktoś mi opowiadał o tym przedstawieniu, to uważałabym, że zrobienie takiego przedstawienia jest niemożliwe. I to jest właśnie największy cud tego spektaklu - w takiej mieszaninie stylów, aluzji, paradoksów artystycznych i estetycznych jest on całością. I tak silnie

5
MINUT
PO
PREMIERZE

POWIEDZIELI

przemawia zarówno do emocji jak i do naszego poczucia humoru. Jest to też spektakl niesłychanie międzynarodowy, który pewnie tak samo żywiołowo jest odbierany w Polsce jak i gdzie indziej.

Hanna Bałtyn:
Przedstawienie „Iwona, Księżniczka Burgunda”... podobało mi się w zasadzie. To znaczy, uważam że jest dość wulgarnie, ale stylowe. Utrzymane zdecydowanie w jednym stylu. Bardzo mi się podobały kostiumy i było parę ładnych obrazów scenicznych, jak choćby ostatnia scena - kolacji - dobrze ustawiona i zabawnie zagrana. Mnie się ten teatr kojarzył wprost z takim filmem i kreskówką, który się nazywa „Rodzina Adamsów”. To znaczy, są to takie komiksowo - groteskowe postacie o charakterystyce jak na... wampiry z żartobliwymi - makabrycznymi horrorami. I tak to też było grane - bez nadmiernych subtelności. Ja nie wiem, czy dużo tutaj zostało z Gombrowicza - każdy może sobie wyobrazić, co też powinno być w „Iwonie”. Ale na pewno spełniło swoją rolę komediową. Zwłaszcza, że język słowacki bardzo nas bawi sam w sobie. Przekład wydawał się dość zabawny. Skoro więc aspekt komediowy zadziałał, skoro fakt rozśmieszenia publiczności nastąpił, to dobrze. To znaczy, że jest to teatr żywy. Nie każdemu on się musi podobać, ale jest „jakiś”, jest z charakterem. Drugi akt dużo lepszy od pierwszego.

Jacek Sut - student reżyserii:
(Iwona): Rewelacja. Przedstawienie jak owoc, jak pomarańcza. Ma skórkę, ma pestki, jest prawdziwe od początku do końca. Ja myślę, że oni lepiej rozumieją to, co Gombrowicz pisze niż my, bo my jesteśmy jednak bardziej obciążeni. Świetny pomysł pojawienia się w tym sztucznym świecie jedynej prawdziwej - Iwony. Dowcipne przedstawienie, ze świetnym kostiumem i scenografią. Nie nudziłem się ani przez minutę, mimo że nie jestem sławistą. Przedstawienie wymyślone od początku do końca, konsekwentne, zwarte. Nie wiem, co można mówić na przeciw, pewnie jakieś ideologiczne sprawy. A mnie to akurat g... obchodzi, bo to ma być spektakl. Teatr jest po to, żeby były spektakle, takie czy inne. A to jest spektakl. Widziałem kilka Iwon w życiu - żadna nie była dobra, a to mi się podobało. To nie było realistyczne przedstawienie. Ludzie ulegają złudzeniu, że u Gombrowicza forma rodzi formę, że wszyscy mają od początku otwarte oczy i patrząc z zastanowieniem w sufit mówią „wróbel!”...

Słuchali: Paweł Goźliński, Andrzej Majczak, Igor Gorzkowski, Rafał Janc

6
MINUT
PO
PREMIERZE

Pięć
dobrych
rad
(młodego)
krytyka
dla
konferujących
naukowo



Jedna z sal radomskiego Muzeum Okręgowego. Dookoła rozwieszono na przeróżnych stelażach dziesiętnastowieczne obrazy o tematyce wiejskiej, gdzieś tam krzyże, wypchane ptaki, a na wprost wejścia fragment strzechy chałupy wiejskiej i górujące ponad nią bocianie gniazdo. Pośrodku roztawione krzesła. Tak właśnie prezentuje się sala konferencyjna, w której wczoraj rozpoczęło się seminarium naukowe towarzyszące Festiwalowi Gombrowiczowskiemu. Czyż nie jest to nader dziwna sceneria? Wystawa „Chłopi w sztuce polskiej” ma być tem dla rozważań o Gombrowiczu, Witkacym i Schulzu? Nie jedyna to dziwna rzecz, jak się okazuje. Referaty - pierwszy, drugi, potem następane. Razem pięć. Dotyczyły one owego trio Gombrowicz - Witkacy - Schulz, aczkolwiek jeden z referentów (Allan Kuharski) pokusił się o stworzenie kwartetu, dodając T. Kantora. Inni w swoich referatach doszukiwali się jakichkolwiek związków pomiędzy trzema pisarzami, na wielu różnych płaszczyznach. Wskazywano na łączące ich stosunki towarzyskie, odmienność twórczości każdego z nich na tle nurtów literackich epoki oraz legendy związane z ich ekscentrycznym stylem życia. Dopiero po wojnie połączyli się w awangardową trójcę, która kształtowała świadomość polskich intelektualistów. Kolejne pokolenia krytyków i badaczy coraz wszechstronniej analizują podobieństwa i różnice ich twórczości. Witkacy, Schulz i Gombrowicz uważani są też za faktycznych prekursorów dzisiejszego postmodernizmu. W podsumowaniu sesji jej sekretarz naukowy Jerzy Jarzębski stwierdził, iż Witkacy, Gombrowicz i Schulz są pisarzami, których twórczość umieścić możemy na pograniczu modernizmu i postmodernizmu. I tej właśnie problematyki dotyczyły głównie referaty takich znanych osób jak: Włodzimierz Bolecki, Aleksander Fiut czy Francesco Cataluccio. Wypowiedzi te były ciekawe, jednak w moim, jak i kilku innych osób odczuciu nie zawsze wnosiły coś odkrywczego do dotychczasowej wiedzy na ten temat.

Uważam za to, iż sposób referowania nie zawsze odpowiadał przyjętym normom. Niektórzy referenci mówili albo za szybko (tutaj rekord pobili 40-minutowy referat Krzysztofa Stali, przeczytany z niesamowitym przyspieszeniem) albo niewyraźnie (głównie referenci zagraniczni). Owe szybkie tempo powodowało, że słuchacze - nie będąc w stanie śledzić toku myślowego referenta - po prostu nudzili się albo popadali w niepotrzebną frustrację. Co zaś tyczy się referentów zagranicznych, to warto by może pomyśleć na następny raz o lektorach czytających ich referaty. Choć i tak jestem pełen podziwu dla rewelacyjnej znajomości tak trudnego jak polski języka u Cataluccio i Kuharskiego. Inną rzeczą jest długość referatów. Tak jak napisałem był czterdziestominutowy referat, pozostałe też zwięzłością nie grzeszyły. Może warto nalożyć na referentów jakieś ramy czasowe. I właśnie z powyższych przyczyn większą popularnością od sali gdzie wygłaszano referaty, cieszyła się tamtejsza kawiarenka. Powiedzmy sobie szczerze, iż sesja festiwalowa to nie seminarium w Instytucie Badań Literackich i w taka specjalistyczna formuła nie jest dla niej najlepsza. Słuchaczami są albo młodzi ludzie (głównie licealiści), albo festiwalowi goście. Dla pierwszych mogły być referaty zbyt trudne, drugim wystarczyłyby zwięzłe komunikaty. Już udowodniono, że sztuka dla sztuki czasami się nie sprawdza. Tym bardziej, że takim seminarium nakłada się pewne zadanie: coś nowego przekazać, zwać się nauczycielem. Aby nikt nie zarzucił mi, iż krytykować łatwo, robić trudniej - oto moje rady:

- 1) referaty powinny być bogate treściowo, ponadto przedstawione w ciekawy sposób (pochwała dla W. Boleckiego),
- 2) nie powinny chyba przekraczać 20 minut,
- 3) należy je czytać w tempie pozwalającym na swobodne śledzenie toku myślowego referenta,
- 4) sala, w której sesja się odbywa może mieć inny wystrój od wiejskiej stylizacji.

Jeśli z tych rad organizatorzy skorzystają, to nie będę musiał dać piątej: aby bocian w gnieździe trzymał w dziobie dzwonek i przywoływał do porządku „szalejących” referentów.

Rafał Janc

Kto jest mądrzejszy: jasko czy kura? Odwieczny konflikt przeniesiony został na pierwszej pospektaklowej konferencji festiwalu na konflikt pomiędzy teatralnymi twórcami a krytyką. A wszystko wokół inscenizacji „Iwony...” teatru ze słowackiej Nitry. Spektakl, któremu zarówno profesor Jarzębski, jak i Elżbieta Morawiec zarzuciły interpretacyjną niespójność, wręcz bełkotliwość, broniony był przez obecnego na sali studenta reżyserii warszawskiej PWST. - To była pierwsza interpretacja Gombrowicza, która nie padała na kolana przed autorem - krzyczał, a później wyrzucił z siebie serię inwektiw pod adresem przedmówców. Oskarżył ich o doktrynerskie podejście do tekstu i, jak można było wywnioskować, zwyczajnie nieuctwo. Wyraźnie zadowolony z siebie słowacki reżyser nie był jednak w stanie sformułować spójnego wyjaśnienia własnych intencji wobec tekstu Gombrowicza. - Za reżysera mówi jego przedstawienie. Trzeba kochać teatr. Krytycy zachowują się tak, jakby przyszli na darmowy bankiet i ktoś im podał dania słowackiej kuchni. A oni nie lubią słowackiej kuchni - skomentował dyskusję młody reżyser, poczym wycofał się z pola bitwy. Słowacy też mieli dosyć. Bra- wa oznaczały zawieszenie broni.

